Nr. 24. Lwów, 11. marca 1900. Serja Wydawnictwa trzecia. Rok XXIV.

Numer pojedyńczy **40 hal.** z dodatkami.

Tygodnik Narodowy

ILLUSTROWANY,

wychodzi na każdą niedzielę.

Ogłoszenia po 16 hal. od wiersza petitowego. Reklamy po 40 hal. 60 hal. i 1 kor. od wiersza.

Prenumerata w Galicji i w Austro-Węgrzech wynosi z przesełką pocztową: rocznie *16 kor.*, półrocznie *8 kor.*, kwartalnie *4 kor.*, miesięcznie *1 kor. 40 hal.*, W Poznańskiem i Niemczech: rocznie *16 marek* — stosownie na pół roku i na kwartał. W Królestwie Polskiem i Rosji: rocznie *8 rubli* — stosownie na pół roku i na kwartał. We Francji i w innych krajach europejskich: rocznie *20 franków* — stosownie na pół roku i na kwartał. W Ameryce Stanów Zjednoczonych rocznie: *4 dollary* — stosownie na pół roku i na kwartał. W Brazylji i w innych krajach zaoceanowych: rocznie *25 franków* — stosownie na półroku. Prenumeratę pod adresem Administracji *Tygodnika Narodowego* najdogodniej przesełać przekazami pocztowymi, lub w listach pieniężnych. Z Ameryki i z Brazylji można przesełać prenumeratę dollarami papierowymi, lub milrejsami w listach rekomendowanych (registré), albo przekazami pocztowymi. Prenumerować można w każdym czasie, bez względu na zaczęty kwartał, lub miesiąc. Numera zaległe z początkiem powieści, lub większych utworów przesełają się natychmiast *bezpłatnie.* Ogłoszenia przyjmuje Administracja, oraz wszelkie biura ogłoszeń miejscowe i zagraniczne. — Prenumeratorowie ***roczni*** otrzymują *co rok bezpłatnie*, jako *premium* nowy *Kalendarz illustrowany* wszechstronnie informujący, obszerny i obfity w treść interesującą.

Redakcja i Administracja ***Tygodnika Narodowego*** *we Lwowie, ulica Kraszewskiego l. 23.*

Tygodnik Narodowy znajduje się pod kierunkiem Komitetu wydawniczego i redakcyjnego.

Z TYPÓW I OBYCZAJÓW LUDOWYCH.



— Wesele huculskie. —

Leon XIII.

W *Tygodniku Narodowym* w Nr. 12, 14, 15 i 22 zamieściliśmy artykuły, odnoszące się do niezwykłych uroczystości, jakie przypadają w tym czasie w Rzymie, a mianowicie pisaliśmy o »Latach miłościwych«, o »Jubileuszowym roku« i wreszcie pokrótce o zbliżającej się uroczystości dziewięćdziesięcioletnich urodzin Ojca św.

Niezwykłą tę uroczystość w dziejach świata święcił tydzień ubiegły. Dnia 2. bm. Jego Świątobliwość Ojciec św. Leon XIII. dobiegł 90 lat życia, a 22 lat pontyfikatu. Ten namiestnik Chrystusowy, który w zeszły piątek obchodził podwójną rocznicę, jest bezwątpienia jednym z najwybitniejszych z długiego szeregu następców św. Piotra na Stolicy Apostolskiej. Oczy też całego świata zwracają się w chwili obecnej ku Rzymowi, aby uczcić dostojnego Starca, który, choć wyzuty z blasku świeckiego panowania i w dobrowolnem więzieniu zamknięty, mądrymi rządami podniósł i pomnożył powagę Kościoła dla dobra ludów i społeczeństw.

Oto treściwy życiorys Ojca św.:

Leon XIII. urodził się 2 marca 1810 r. w miasteczku Karpineto we Włoszech, z ojca pułkownika Dominika Ludwika Pecci i żony jego Franciszki Prosperi de Kori, otrzymał na chrzcie św. imię Joachim. W dniu 31. grudnia 1837 roku odebrał święcenie kapłańskie. Dzięki wielkim zdolnościom i głębokiej pobożności i nauce, młody kapłan niebawem został arcybiskupem i kardynałem, a w r. 1878 wybrany został papieżem, jako Leon XIII.

Lat 22 kieruje już Leon XIII. łódką Piotrową. Gdy dzisiaj Ojciec św. po śmierci nieodżałowanego Piusa IX., wielkiego przyjaciela polaków, wybrany został namiestnikiem Chrystusowym, powiedział swego czasu te piękne słowa: »Tu w sercu mojem mam Polskę i polaków!«

Polska też, bez względu na fluktuacje polityczne i dyplomatyczne, odwdzięcza się Stolicy apostolskiej takiem przywiązaniem i bezwarunkową miłością, że żaden inny naród, dorównać jej nie jest w stanie.

Tylko sen.

Ciemno na niebie i na ziemi ciemno,
Otchłań nademną i otchłań podemną
I straszna cisza dokoła!
I tylko głowa bicie serca słyszy
I tak mi straszno w tej grobowej ciszy,
Że potem perli się czoło!
I nigdzie światła; tylko ciemność z ciszą,
Jak anioł śmierci do snu mnię kołyszą,
By złożyć w grobie nicości!
Dusza ulata gdzieś w dal nieskończoną,
A serce czuje radość niezmierzoną
W ciszy ciemności...
I czuję jeszcze, jak mi dłoń anioła,
Lekkiem muśnięciem pot ociera z czoła
I widzę skrzydła jego koło siebie.
I coraz ciemniej i ciemniej dokoła
I już niewidzę postaci anioła —
Cisza na ziemi i niebie!...
Czuję, że lecę w jakąś otchłań ciemną,
Otchłań ponurą, straszną i bezdenną,
Jak do mogiły!...
I wszystko znikło, jak senne marzenie,
Został ból jeden, zostało cierpienie
I zorze ranne łuną się paliły!
Ból... zorza — wszystko jedną chwilką...
To sen był tylko!...

Niemir.

Sprawa nowego teatru we Lwowie.

Sprawą dyrekcji nowego teatru w naszem mieście zajmuje się, niemal, cała inteligencja ze wszystkiemi swemi charakterystycznemi odmianami, które nierzadko mają tylko powierzchowny związek z literaturą i sztuką, a objawy ich nie stanowią, bynajmniej, kryterjum dla pierwszej i dla drugiej. Gdyby, jednak, ta lwowska inteligoncja czynny brała udział w ruchu umysłowym, mniej by ją obchodziła kwestja, czy np. ten, lub ów będzie dyrektorem teatru, lecz co grają w teatrze i jakie kierunki literackie pojawiają się na scenie. Tego u nas nie ma i Lwów, jakkolwiek ma pretensje do dużego miasta, niemniej wszakże pod względem literatury i sztuki, jest tylko wielkim partykularzem wymagającym, jak najwięcej za tanie pieniądze...

Wątpliwości żadnej nie ulega, że we Lwowie wymagania publiczności nie idą w prostym stosunku z tem, co publiczność gotowa jest dać za te swoje wymagania i, albo jej jest z ręką w kieszeni za mało, albo z obojętnością w zanadrzu za dużo. Dawniejsze dyrekcje teatru we Lwowie, nawet tak świetna, jaką była ś. p. Stanisława Dobrzańskiego, mogłaby posłużyć za przykład, że dziad może przemawiać do obrazu na rozmaity sposób, a obraz będzie sobie wisiał na ścianie i milczał..

Mimo to wszystko Lwów, a raczej ci, co w niem myślą, no, i czasem czują za innych, wystawił wspaniały przybytek dla sztuki teatralnej i pragnie znękane politycznie społeczeństwo polskie, na polu sztuki i literatury dramatycznej krzepić siły i podsycać jego ideały narodowe.

Cześć więc, przedewszystkiem, należy się miastu, jego reprezentacji — Radzie miejskiej, za tę ofiarę, która potomnym świadczyć będzie o rzetelnym i wspaniałomyślnym patrjotyzmie lwowskiego mieszczaństwa.

Nic zatem sprawiedliwszego, że ta Rada miejska, jedynie i wyłącznie stanowić powinna o losie nowego teatru i o ile potrafi się usunąć od wpływów zewnętrznych przeróżnej natury i przeróżnych ambicyj, o tyle większy będzie pożytek dla ogółu, a co zatem idzie, większa chluba dla niej samej.

Na dyrektora nowego teatru mamy dwóch kandydatów: p. Tadeusza Pawlikowskiego i p. Ludwika Hellera. Za jednym, lub za drugim oświadczy się Rada miejska, bo, choćby nawet w ostatniej dobie pojawili się inni kandydaci z ofertami, nie wejdą oni w rachubę i nikt się też z nimi liczyć nie będzie.

Nie mamy zupełnie zamiaru obniżać pod jakimkolwiek względem kwalifikacyj dyrektorskich p. Pawlikowskiego, ani występować przeciwko niemu z zarzutami co do jego działalnośei, jako dyrektora teatru w Krakowie — znając jednak z gruntu tutejsze stosunki, które są wręcz odmiennej natury i charakteru od krakowskich, jesteśmy tego głębokiego przekonania, że p. Pawlikowski nie jest odpowiednim na dyrektora lwowskiego teatru, którego skomplikowane rządy, wymagają, oprócz wykształcenia, kolosalnie energicznej pracy, talentu orjentacyjnego i wreszcie wcielenia się w całe przedsiębiorstwo, a p. Pawlikowski właśnie pod tymi wszystkimi względami jest nieobliczalny. Teatr, jako instytucja, rozpatrywany z najidealniejszego stanowiska, nie może być, szczególniej w naszych narodowych stosunkach, ani szlachetną zabawką, ani polem do eksperymentów literackich, czy artystycznych, ani wreszcie pańskiem źródliskiem do nasycania się uciechami, choćby i estetycznemi. Teatr u nas musi i powinien być, przedewszystkiem, instytucją zdrową i tem swojem zdrowiem obowiązany jest służyć interesom narodu polskiego w kierunkach najdalej zakreślonych sztuką sceniczną i literaturą dramatyczną. Zdrowa instytucja nie powinna przewracać oczami i wołać ciągle o miłosierdzie publiczne, o jałmużnę, lub opierać się o magnackie kieszenie, lecz zbożną, pożyteczną, uczciwą i rozumną pracą, powinna żyć, rozwijać się i mężnieć o własnych siłach. Ideałne cele nie wykluczają, bynajmniej, rzeczywistych i realnych warunków — przeci-

Kronika niedzielna.

Pożar w nocy.

Miasto śpi...

Firmament niebios okrył się bladosinym całunem, opary nocy gęste, brunatne, tumanami ku szczytom płynące, zamgliły całą kaskadę srebrzystych gwiazd, mrugających brylantowemi oczyma, jak przez różowawe woale i tracących swoją siłę blasku, jakby załzawione, spłakane, zmęczone.

Noc stopniowo staje się wpółciemną i cały obszar przestworza maluje się granatową barwą, tylko jedna strona firmamentu płonie, jedna strona okrywa się szkarłatem, stroi w purpurę królewską, błyszczy jakimś groźnym rumieńcem, co stopniowo posuwa się wyżej i wyżej, oblewając jak oceanem krwi półzmroki sennych niebios...

Tam pożar!

Uśpiony gród nic nie wie o grozie niebezpieczeństwa, nie słyszy okrzyków przerażenia i jęku niedoli, nie widzi łuny, która zapala obłoki w ogniste zygzaki, sypie snopy iskier i szmermele z drobnych pyłków świetlanych, bramuje chmury porpurowozłotą opaską...

W tej barwie niebios jest jakaś groza, te brunatno-karmazynowe fale z kurzawy ognistej kołyszą się, jakby za chwilę spaść na ziemię chciały i zalać ją i muskać pocałunkami warg ognistych...

W tem zdala słychaćdzwonienie, potem trąbka sygnalizuje życie, potem tentent kopyt końskich rozlega się na bruku miejskim i w stronę, kędy karmazynowe kobierce rozpostarte na niebiosach, pędzi straż ogniowa.

Zdala słychać odgłos, jakby łamał się most, jakby runęły granitowe arkady, jakby pękały kolosalne spiżowe kolumny, słychać, jak bruk jęczy pod kopytami rumaków. Parskanie okrytych pianą biegunów, szczęk przyborów ogniowych, turkot wozów — wszystko to łączy się w jakąś dziwną melodję, w jakiś huragan, co przeraża, oddech w piersi tamując i podziwiać się każe...

Cwałują spienione konie, błyszczą ostrza lśniących toporów, a wszystko to oblewa złota smuga świateł kagańców, co jasność rozlewa i uwidacznia kroplami potu zroszone czoła, a i rumieńcem energji olśnione twarze strażaków.

Rycerze ognia na wozach swych wyglądają, jak fantastyczne postacie nocy, co pod sztandarem obrony pędzą gdzieś nieść pomoc, ratunek tym, którzy go potrzebują w nieszczęściu...

Pędzi straż, dudnią beczki, grają trąbki, płynie nad biegnącą falangą kaskada blasku, pełnego fantastycznego uroku, który oszałamia, upaja...

W tym tentencie i w tym chaosie zda się słyszysz jeden wyraz:

— Klęska!...

Klęska!... To słowo uderza do szyb okien sennych mieszkańców, obija się o ściany wielkich kamienic, tuła śród kapiteli i filarów, szybuje w przestworza tam, kędyś ku krwawemu firmamentowi, ku stopom Przedwiecznego Stwórcy, jak skargi jęk, jak modlitwy głos, jak prośba, jak błaganie o pomoc w niedoli...

I z tonem tej modlitwy cwałuje straż...

Na twarzach obrońców cudzego mienia niemasz, ani śladu znużenia, ani śladu zaspania, lub niechęci — pędzą do ognia omal że z uśmiechem na ustach, pełni energji i siły.

W imię Boga!...

Piękna jest straż ogniowa, gdy śród cieni nocy przebiega ulice miasta, migocąc pochodniami i dając znać o nieszczęściu odgłosem trąbki, co nie sygnał wygrywa, ale jakąś rzewną, acz pełną grozy melodję...

Kto pierwszy raz pędzącą straż zobaczy, zwłaszcza też w nocy, kto pierwszy raz tę melodję jej usłyszy, na długo mu ona utkwi w pamięci!...

Do rozhukanego niszczycielskiego żywiołu biegną barczyste, młode postacie pożarnego plutonu, jak furje, śród lin i toporów, drabin, mundsztuków i węźów, na kozłach beczek, lub sikawek, na krawędziach wozów, otuchy pełni, silni, zakochani niemal w swym szlachetnym zawodzie...

A miasto śpi...

pk.

wnie, zapoznawanie tych ostatnich obniża, lub unicestwia moralne rezultaty i wywołuje przygnębienie i pesymizm. Tego, chyba, mamy aż nadto dużo dowodów, choćby i w kronice naszych imprez teatralnych.

Pan Ludwik Heller objął gospodarstwo teatralne we Lwowie tak zdewastowane, skudłaczone, zdekompletowane i zdezopinjowane u wszystkich, że potrzeba było nie lada głowy, energji, wytrwałości, talentu i rzetelnego wykształcenia, aby z tych rozsypanych gruzów postawić gmach na nowo. Postawił go, umocnił, bez żadnej pomocy możnych i protekcji „mecenasów sztuki", a wszystkie przeszkody, nawet wypływające ze złej woli i osobistej stronniczości pokonał salwując godność i stanowisko wolnej i największej sceny polskiej. Wykazał on najdobitniej wszystkie dodatnie kwalifikacje na dyrektora wielkiego teatru, a pomijając już wymowne świadectwo, jakie mu wystawiła komisja artystyczna w sprawozdaniu swojem do Wydziału krajowego — zjednał sobie u dziennikarstwa rzetelne uznanie i u szerokiej publiczn ści, która odwiedza teatr w niebywałych za poprzednich dyrekcyj, rozmiarach.

Byłoby istotną krzywdą pozbawiać takiego człowieka możności do dalszej pracy, z której jest i będzie pożytek dla sztuki, dla literatury polskiej i wreszcie dla miasta, bo nie ulega najmniejszej wątpliwości, że dyrektorstwo Hellera, nietylko postawi scenę lwowską na wyżynach, lecz przyniesie materjalne zyski gminie dając dowody zdrowia instytucji we wszystkich jej kierunkach. Krzywda byłaby tem dotkliwsza i niesprawiedliwa, iż powszechnie wiadomo, że p. Heller, aby przyprowadzić do ładu zmurszałą instytucję, jaką objął od swoich poprzedników, włożył poważny kapitał, a sama biblioteka, muzykalja, meble, dywany, garderoba, dekoracje i inne utensylja, które sprawił, przedstawiają wartość przeszło stu tysięcy złotych reńskich. Kto potrafił z piasku bicz ukręcić — można sobie łatwo wyobrazić, co zdoła uczynić wówczas, gdy sprawy teatru wejdą na normalne, regularne tory i znajdować się będą pod egidą i opieką patrjotycznej i przejętej zawsze duchem obywatelskim lwowskiej Rady miejskiej.

W naszych stosunkach ciężkich, twardych i niezwykłych, ludzi żelaznej pracy, wytrwałości, talentu, rozumu, wykształcenia prawdziwego, zdrowego i podpartego życiowem doświadczeniem, a przytem charakteru prawego, do jakich Ludwik Heller dał niezbite dowody, że należy — powinno się zachęcać i nagromadzone owoce dodatnie zgarniać dla użytku publicznego, a nie marnować je dla nieuchwytnych aspiracyj i nieokreślonych ambicyj, choćby one miały pozory bezinteresowności, bo kto w tym kierunku idzie za daleko, czeka go zwykle koniec bardzo bliski.

WESOŁY KURJEREK.

U fotografa.



— Proszę pana, ta fotografja jest dla mojej narzeczonej — więc, niech pan tak zrobi, abym młodziej wyglądał...
— Ale naturalnie!...
— Fotografja nie jest przecie metryką...
— Ani metryka fotografją...
— Właśnie...

W marcu.

»W marcu, jak w garncu« — powiada przy-[słowie,
Raz śnieg się sypie, deszcz bębni po głowie,
Więc człek pod wiechę mknął, nieprzymierzając,
Jużci jak zając.

Tam, z racji aury, z miną frasobliwą
Cykał marcowe ze szklanicy piwo
I wołał: »Jespan, kiedy taki marzec
Dawaj-że garzec!...«

Dziś, czyli marzec, czy styczeń, czy luty
Bliźni bliźniemu zawdy szyje buty,
I kwaśne piwo wzorem złych kramarzy,
Jeno ci warzy.

Nix.

Głupców nigdzie nie brak...

Nie darmo mówią, że w Ameryce wiele rzeczy dzieje się w formie i treści niezwykłych, a przesadne obrazy tamtejszego życia, które kreślił w karykaturalny nieco sposób Sardou w „Stryju Samie", zdają się być nieraz zwierciadłem obyczajów amerykańskich.

Do najekscentryczniejszych należy sekta, założona przez niejakiego S. W. Sandforda, która postawiła sobie za zadanie, leczyć chorych przez wypędzenie z nich złych duchów, a to za pomocą modlitwy i bicia pacjenta biblją. Zły duch, jest to dla nich uosobienie choroby.

Zdaje się to nieprawdopodobnem, a jednak sekta ta, świeżo powstała, ma już rozgałęzienia w wielu miasteczkach stanów Maine i New-Hamshire. Jedna z najbardziej kwitnących odnóg jest w Manchester, w tym samym stanie, założona przez niejakiego Hutchins'a, dawniejszego introligatora, który swój domek przemienił na świątynię sekty, a sam, dzięki składkom swoich wyznawców, ma teraz piękną kamienicę w najlepszej części miasta.

We wrześniu r. z. zgłosił się do niego bogaty pr emysłowiec z Manchester nazwiskiem Flether, który chorował na chorobę Brighta, leczył się bezskutecznie u najlepszych doktorów, a nakoniec, opuszczony przez nich, udał się do rozmaitych cudotwórców, na ostatku zaś do Hutchins'a.

Przez trzy dni „Pracownicy Sandforda", gdyż tak się sekciarze nazywają, przychodzili do niego, żeby się „modlić" i przytem sumiennie tłukli go swemi bibljami, ażeby bardziej nastraszyć złego ducha. Czwartego dnia Fletcher umarł, co jednak wcale nie zachwiało wiary w cudowne skutki kuracji.

Również nieszczęśliwy był rezultat u syna Hutchins'a, który jako ochotnik w wojnie przeciw hiszpanom, dostał dysenterji; został wyleczony przez dobrego doktora, nie chciał jednak słuchać jego przepisów co do rekonwalescencji i zachorował na nowo. Wtedy rozpoczęto kurację podług metody jego ojca, naturalnie z wszelką energją, należącą się synowi naczelnika. Zły duch jednakowoż był uparty i młodzieniec umarł. Ojciec nie okazał, ani zdziwienia, ani żalu, mówiąc tylko, że Bóg tak chciał, co niewątpliwie było prawdą.

Oprócz „modlitwy" i uderzeń, każą „pracownicy" jeszcze pościć pacjentom, utrzymując, że zły duch, jako bardzo zmysłowy, prędzej opuści osłabione i wychudłe ciało. Gdy kuracja się nie uda, co zdarza się bardzo często, wtedy oczywiście winien jest tylko brak wiary u pacjentów. Księża w tych okolicach naturalnie zwrócili się gorliwie przeciw tej sekcie, której zadanie przyrównywają do fetyszyzmu środkowej Afryki, ale, jak dotychczas, zupełnie bezskutecznie.

Główny naczelnik sekty, Sandford, który nazwał ją skromnie „Kościołem Boga żywego, Filarem i Podstawą Prawdy", założył już ze składek członków świątynię, szpital dla „kuracji przez wiarę", szkołę i ochronkę w stanie Maine, niedaleko miasta Freeport. To nazywa się Shileh. Sandford wydaje tam dziennik pod tytułem „Języki ogniste". W szpitalu jest urządzona sala egzorcyzmów, tak, jak w innych szpitalach sala operacyjna.

Sandford, który nienawidzi innych sekt i religji, ma kolosalne plany na przyszłość, chce wysełać misjonarzy, ażeby czynić propagandę, kupić Jerozolimę i zrobić z niej stolicę świata, projektuje także wielką wojnę religijną.

Gdy w lecie r. z. potrzebował na zapłacenie wykonanych budowli 100.000 franków. zwołał mityng, na którym zebrał tę sumę i jeszcze wiele więcej.

Okazuje się dowodnie, że w krajach, słynących z rozumu, nie brak głupców.

Dwie.

Iza.

Kocham ciebie, a jednak
Być twoją nie mogę —
Ja — karetą chcę jechać
Przez życiową drogę.

Hela.

Jestem twoją, bo kocham,
Życie z tobą rajem —
Może mi dasz trzy centy
Chcę wracać *tramwajem!*

Nik.

Krewki dziedzic.

— Przyszedłem panu dziedzicowi podziękować za służbę.

— Czyś oszalał, cymbale jakiś, bałwanie?

— Znowój: „bałwanie!“ „Wstawaj bałwanie!...“ »rusz się bałwanie!...« »podnieś bałwanie!...« »podaj, bałwanie!...« Ja już z tymi »bałwanami« wytrzymać nie mogę.

— Takiś ambitny?.... o to ci więc chodzi?

— A juści.

— No, to głupstwo!... Wyrzucimy bałwanów. A przy »cymbale« zostaniesz?

— A no, kiej tak, to i ostanę przy panu dziedzicu.

Podczas nauki religji.

Pyta ucznia katecheta: — Powiedz: w piśmie świętem
Różnicę pomiędzy nowym i starym testamentem?
Wstaje uczeń i powiada, patrząc w biblji karty:
— Nowy jest zupełnie cały, a stary podarty.

Iki

Nieomylny prorok.

— Jak myślisz Jacenty, czy tego roku będzie wczesna wiosna?

— Ja myślę, jaśnie panie, że do płacenia żydom, to będzie wczesna, a zaś do oracki i wedle pastwiska, zawsze późna...

Ambitny.

Między właścicielem domu, a lokatorem kawalerem:

— Mój panie! już trzeci miesiąc pan nie płaci komornego — wie pan co, niech się pan wynosi, ja już panu daruję te trzydzieści złr.

— Panie! pan się zapominasz, ja takiej darowizny przyjąć nie mogę, ale mogę jeszcze odmieszkać te trzydzieści złr.

Dno morskie ze szkła.

Świat uczony zwrócił baczną uwagę na wiadomość, przesłaną paryskiej akademji przez mineraloga p. Ternier, który otrzymał od inżyniera pewnego Towarzystwa podmorskiej telegrafji kilka odłamków skały, wydobytych z dna oceanu atlantyckiego z głębokości 3.100 metrów. W r. 1891 zaszła potrzeba wydobycia liny z morza pod szerokością geograficzną Paryża i pod długością wysp Azorskich; w tym celu musiano zapuścić żelazne szczypce, które wlokły się po dnie. Czynność powyższa nastręczała wyjątkowe trudności, albowiem w tamtych okolicach, dno Atlantyku jest bardzo nierównem i tworzy, jakby płaskowzgórze, usiane stromymi szczytami i głębokiemi dolinami, na dnie których leży mnóstwo szlamu. Wlokąc się po nierównem dnie oceanu, szczypce zawadzały często o występy nagich skał, łamiąc się o nie, lub rysując w głębokie szramy. Kilkakrotnie pomiędzy wargami narzędzia znajdowano świeżo oderwane od podmorskich skał okruchy, należące do jednego i tego samego gatunku. Przekonano się, że owe strome, wysokie i całkiem nagie góry, ciągną się na bardzo wielkiej przestrzeni. Co najdziwniejsze jednak, że składają się z prawdziwego szkła.

Należy tu naznaczyć, że szklista masa znajduje się w wielu miejscowościach na powierzchni lądu; powstaje ona wtedy, gdy wyrzucona z ognisto-płynnego łona ziemi lawa, zastyga tak szybko, że wchodzące w jej skład materje, nie zdążą się wykrystalizować i wytworzyć oddzielnych materjałów. Im wolniej bowiem krzepnie skała, tem piękniejsze i większe formują się w jej łonie kryształy. Najwolniej zaś zastygają ognisto-płonne masy w głębinach kory ziemskiej. Zdawaćby się mogło, że wyrzucone w zagłębieniach dna morskiego lawy, powinny krzepnąć powoli; znaleziona masa szklista przeczy atoli takiemu przypuszczeniu. Przypomina ona zupełnie tak zwany obsydjan, który powstaje wówczas, kiedy płynny bazalt szybko zastyga na powierzchni. Tylko, że szkło podmorskie jest zupełnie nie przezroczyste, a rozłam jego błyszczy cokolwiek słabiej, aniżeli w obsydjanie.

Z powodu małych rozmiarów wydobytych ułamków, nie zbadano dokładnie ich składu chemicznego: za to mikroskop wykazał niezbicie, że dno podmorskie jest pochodzenia wulkanicznego, gdyż znaleziono w niem drobniutkie kryształki oliwinu, zawsze obecnego w bazaltach. Masa pod drobnowidzem ma jednorodną, jasno-brunatną barwę; oprócz wspomnianych kryształków nieprezroczystego oliwinu, dostrzeżono jeszcze jakieś czarne, włókniste ciało, które zaczęło się, lecz nie zdążyło krystalizować.

Fakt znalezienia szklistego dna oceanu, obudził wielkie zainteresowanie pośród geologów, którzy łamią sobie głowy, aby go należycie wytłomaczyć. Termier przypuszcza, że w epoce, kiedy wydostała się z wnętrza ziemi ognista lawa, z której powstało szkło wyżej opisane, dno oceanu atlantyckiego nie leżało tak nisko, jak obecnie. Znaczy to, że skorupa ziemska ulega ciągłemu, choć niezmiernie powolnemu falowaniu, przyczem siły wewnętrzne wynoszą jedne miejsca, podczas gdy poziom innych obniża się. Zjawisko tego rodzaju odbywa się niejako w naszych oczach: półwysep skandynawski bowiem staje się coraz wyższym, niektóre zaś punkty na południowych wybrzeżach Bałtyku zapadają się coraz głębiej i po upływie jakiegoś czasu pogrążą się w jego falach.

Geologja nie zna jeszcze na tyle mechaniki skorupy ziemskiej, aby mogła nam zadowalniająco wyjaśnić przyczyny podobnych zjawisk.

Echa zamiejscowe.

Z *Poznania* donoszą;

Jeneralny sekretarz hakatystów — Bovenschen, dotarł aż do Żorów (Sorau) w Łużycach i tam założył nową ortsgruppę hakatystyczną. Zapisało się pięćdziesięciu członków i ci wierzyć będą ślepo we wszystkie brednie i kłamstwa, jakiemi ich z nienawiści do nas hakatyści będą karmili.

Z *Kołomyi* piszą:

Przygotowania około oświetlenia naszego miasta gazem, żółwim idą krokiem. Z całem uznaniem należy jednak podnieść zabiegi dyrektora tutejszej gazowni, p. inżyniera Kaczewskiego, który dokłada wszelkich starań, by zamierzone to oświetlenie wprowadzić w czyn, jako też p. Niemekszy, przedsiębiorcy robót instalacyjnych, który pomimo bardzo częstych dni słotnych i wielu innych przeszkód, oddał swe roboty w terminie.

Oczekujemy tu przybycie trupy p. Müllera, który zjedzie do nas na szereg przedstawień. Sądzimy, że publiczność nasza, będzie stale zapełniać salę Kasy oszczędności, czem się odwdzięczy p. Müllerowi za uprzyjemnianie jej wieczorów wielkopostnych.

Z Chicago (Ameryka) piszą:

Quo Vadis, dramat przerobiony przez niejakiego Stanisława Stande z powieści Sienkiewicza, miał tu olbrzymie powodzenie. Przedstawiano tę sztukę przez ośm tygodni po dwa razy dziennie. Ogólny dochód z tych przedstawień wynosił 96,483 dol., czyli przeciętnie więcej niż 12,000 tygodniowo. Sukces był niezwykły. Teatr był zawsze przepełniony. Ciekawiśmy, czy też kompanja, która taką ładną sumę pieniędzy zarobiła, prześle jakie honorarjum autorowi *Quo Vadis*, p. Henrykowi Sienkiewiczowi?.. Obowiązek moralny nakazywałby to uczynić...



Ś. p. Karol Młodnicki,

artysta malarz, zmarł w tym czasie we Lwowie w 63 roku życia. Należał on do starszej generacji malarzy, z której wyszedł Artur Grottger. Wszyscy już oni prawie legli w grobie, choć nie spędzeni z tego padołu płaczu wiekiem, lecz przedwczesną chorobą, trawiącą gorączką pragnień, życiem, a nierzadko i przeżyciem. Ś. p. Karol Młodnicki umarł na serce jak przystało artyście, ale umarł przedwcześnie także, bo w sile męskiego wieku. Wybitnym malarzem nie był, ale był doskonałym rysownikiem i wybornym nauczycielem. Sztukę i naród swój kochał silnie i ogniście. Był człowiekiem zacnym, uczynnym i kolegą oddanym. Do osoby ś. p. Karola Młodnickiego, przywiązana jest i ta interesująca okoliczność, że po śmierci swojego przyjaciela i kolegi, ś. p. Artura Grottgera, ożenił się, z jego narzeczoną, panną Wandą Monné. Córka ś. p. zmarłego, jest zamężną za p. Wolskim, do niedawna współwłaścicielem kopalni naftowych w Schodnicy.

Darowana miłość.

z francuskiego

napisał M. Lescott.

(Ciąg dalszy. Patrz nr. 28).

Ale pan Piotr jest sprytny, odrazu poznał się na finezji papy i wymiarkował, o co rzecz idzie. Rzucił niespokojne, badawcze spojrzenie w moją stronę i poważnie odparł:

— Pan Pochon uchodzi za bardzo majętnego. Posiada bardzo piękną fabrykę... tak, niezaprzeczenie bardzo piękną i dobrze urządzoną.

I nic więcej nie można było z niego wyciągnąć.

20-go czerwca. Pan Piotr nie pokazał się od dwóch dni. Ja grywam w szachy w jego zastępstwie, ale biedny papa nie jest zadowolony. Mama zrobiła mu słuszną uwagę:

— Mój drogi, nie trzeba było zasięgać wiadomości o panu Pochonie u tego młodego rejenta. To pewnie jego klient, co go zmusza do dyskrecji.

To papę zaniepokoiło.

— Cóż u licha!.. Wydał się taki niekontent. Nie rozumiem, dla czego. Jeżeli Pochon zaciągnął jakie długi, to ja przecież powinienem o tem wiedzieć.

Pan Pochon ma być u nas na śniadaniu w przyszłym tygodniu z adwokatem z Besançonu. Ma to być pierwsze spotkanie.

Ja już z góry wiem, jak się to odbędzie, więc sobie z tego nic nie robię. Zawsze to jednak sprawia pewien popłoch w domu. Papa staje się rozmowniejszym i głośniejszym, mama zdradza pewne rozdrażnienie nerwowe. Bo mama teraz choruje na nerwy. To podobno modna choroba wielkich pań. Pierwszym razem, kiedy przechodziłam przez ten ceremoniał prezentacji, doznawałam naprzód rozkosznego jakiegoś uczucia nadziei i niepewności. Serce trzepotało mi w piersi, jak ptak w klatce. Zdawało mi się, że usłyszę niebiańską jakąś symfonję, lub co najmniej takie czułe oświadczenia, jak w powieści. Łamałam sobie głowę, jak ja też na to odpowiem, ja, która żadnego doświadczenia nie mam w miłości. Bo zkądżebym je wzięła? Ten wyraz nawet wykreślali zawsze z książek w klasztorze, jakby to było coś złego!.. Dziś już nabyłam wprawy. Umiem na pamięć moją rolę i przepowiadam ją sobie.

— Czy pani lubi wieś? Czy pani lubi muzykę? Czy pani lubi Paryż? Czy pani lnbi świat?

A ja, jak przystoi na dobrze wychowaną pannę, odpowiadam skromnie: *trochę, bardzo umiarkowanie.* Zupełnie, jakbym obrywała listki stokrótki. Tylko wyrazy: *całą duszą* wykreślone są z tego djalogu. Czasem smutnie zapytuję sama siebie, czy ja też kiedy będę miała sposobność w życiu wymówić słowa tak gorąco, tak szczerze, jak je czuję: *Całą duszą!* A ironiczny, złośliwy głos mego przedwczesnego doświadczeuia szepcze mi:

— Tylko ubogie dziewczęta bywają kochane w ten sposób.

25-go czerwca. Jestem bardzo niezadowolona i mam prawo skarżyć się na papę i mamę, którzy upierają się przy obcych traktować mnie, jak dziecko i na pana Piotra, który sobie igraszkę zrobił z mojej dobrej wiary. Co on mi opowiada o swoim panu Henryku, wzorze rycerskości! Ja się uniosłam szlachetnemi uczuciami względem niego, postanowiłam wyjść za tego dumnego, zrujnowanego panicza, aby mu przywrócić jego zamek, a tu okazuje się, że ten brylant bez skazy jest szkłem czeskiem, a ja głupiutką gąską, która się dała wywieść w pole.

Dziś mieliśmy więc na śniadaniu pana Pochona z adwokatem. Wszystko więc odbyło się według zwyczaju. Pan Pochon siedział przy mnie u stołu. Zadał mi z góry obmyślane odpowiedzi. Wydawał się zadowolonym z nich, choć zdaje mi się, że ich nie słuchał. Zato sam siebie słucha ciągle i przyznać trzeba, że nie źle mówi. Jest on średniego wzrostu, żywy, energiczny; znać człowieka pracy i czynu. Podobałby mi się dosyć i włożyłabym go bez wstrętu do skarbonki, gdyby się nie nazywał tak brzydko: *Pochon.* To tak brzmi jakoś nieharmonijnie: Pochon! Choć nie dbam o tytuły, jak mama, ale kiedy jestem bogata, to mogę przecież pozwolić sobie na ten jeden zbytek, aby wybrać jakieś ładne imię, któreby nie drapało mi uszu.

Pani Pochon!... Nie, to brzmi niemożliwie!

Podczas obiadu, adwokat, który wywierał wrażenie bazyliszka, zaczął mówić o naszych sąsiadach, nie oszczędzając w swojej złośliwości żadnego z nich. Uważałam jednak, że głównie atakował te rodziny, gdzie są synowie do wzięcia; tego nazywał idjotą, tamtego nieukiem, nie umiejącym nawet podpisać się; ten miał nawyknienia parobka, tamten pod płaszczykiem hypokryzji krył najgorsze instynkta. Zdawało się doprawdy, że wszystkie niegodziwości otaczały nas zewsząd i że tylko pan Pochon i adwokat wolnymi od nich byli.

Zapędził się on tak daleko w swoich opowiadaniach, że to aż mamę zaniepokoiło. Nie śmiała powiedzieć: „Cicho! bo Lola może usłyszeć!“ — ale to już tak wyraźnie było wyrażone w jej oczach, że przerwał konwersację, aby powiedzieć coś po łacinie, czego nie zrozumiałam, ale co z pewnością znaczyło: „Niech pani dobrodziejka będzie spokojna; nie zapominam, że panna Lola słucha“.

Podczas deseru wzniósł on toast na cześć naszego przybycia.

— Będzie to dobrodziejstwem dla okolicy, która przestanie być świadkiem rozpusty tych Varsangów — rzekł. — Należy im się palma głupoty i niemoralności.

I nie dając mamie czasu zaprotestować:

— Chcesz pani wiedzieć, dla czego hrabia Henryk sprzedał zacnemu jej małżonkowi zamek rodzinny, którego imię nosi?

Mama zerwała się, jak szalona, nie kończąc wetów:

— Opowiesz mi pan to w salonie — rzekła, potem zamiast mi dać wypić czarną kawę, jak zwykle, kazała mi iść na górę, pod pozorem egzercytowania się na fortepianie.

To mi wszystko jedno; jest coś, co kryją przedemną, a ja się i tak dowiem Spytam się pana Piotra; on mi musi powiedzieć.

26-go czerwca. Wczoraj, kiedy pan Piotr przyszedł, zastał mnie samą w salonie. Mama poszła wyburczeć Marjannę, bo pieczyste było przypalone, a papa konferował z ogrodnikiem. Zaledwie usiadł, przystąpiłam odrazu do rzeczy:

— Czybyś pan nie był łaskaw wytłómaczyć mi tajemniczej przyczyny, dla której pański przyjaciel, hrabia Henryk de Varsange, sprzedał zamek swoich praojców?

On patrzał na mnie zdziwiony.

— Nie ma w tem żadnej tajemniczej przyczyny — rzekł. — Henryk zmuszony był pozbyć się go dla zapłacenia długów, zaciągniętych przez swego ojca.

Wzruszyłam raminami niedowierzająco.

— Niechże mi pan nie opowiada takich rzeczy. Jeżeli o to pytam, to dla tego, że mam poważny powód, aby dowiedzieć się prawdy. Pański przyjaciel musiał zrobić coś bardzo złego, bo powiedziano w mojej obecności, że należy mu się palma niemoralności i głupoty.

Mówiłam jednym tchem, bo bałam się, aby papa nie wrócił. O mamę byłam spokojna; kiedy zacznie łająć Marjannę, to wiem, że to się zawsze zanosi na długo.

Ale pan Piotr nie śpieszył się z odpowiedzią. Milczał długą chwilę, zimny i chmurny; potem surowym głosem rzekł:

— Kiedy kto dotyka czyjegoś honoru, nie powinien sobie pozwalać na oszczercze insynuacje. Zechciej mi pani powiedzieć, co słyszałaś?

Czułam, iż ta ostra przymówka stosuje się do mnie. Zawstydzona, chciałam go przeprosić, jak niegrzeczna dziewczynka, zagrożona karą, kiedy nagle papa wszedł do pokoju. Pan Piotr zwrócił się prosto do niego.

— Dowiaduję się od pańskiej córki, że jakieś niecne potwarze kursują na mego przyjaciela, hrabiego Henryka de Varsange. Proszę pana usilnie powiedzieć mi, o co mianowicie śmią go obwiniać?

Papa rzucił mi gniewne spojrzenie i odparł wymijająco:

— Ja o niczem nie wiem; ale jeżeli pan się będziesz bawił w słuchanie plotek tej małej sroki...

Ale pan Piotr nie dał się wywieść w pole.

— Zrozum mnie pani, panno Lauro — rzekł — to oszczerstwo, rzucone z za płota, rozeszło się pewnie po całym świecie, a ja jeden tylko o niczem nie wiem, bo nikt nie ośmielił się powiedzieć mi w oczy czegoś, coby było ujmą rodziny, której zawdzięczam wszystko na świecie. To też, kto uchybia Varsangom, mnie uchybia; muszę więc iść do potwarcy i powiedzieć mu w oczy: Skłamałeś nikczemnie!

Kiedy kto do mnie przemawia takim tonem błagalnym i rozkazującym zarazem, to poszłabym w ogień, w wodę, narażałabym się światu całemu, nawet mamie... To też, nie bacząc na zagniewane spojrzenie papy, rzekłam:

— Widzę, że niepotrzebnie wygadałam się, ale anim tego nie wymyśliła, ani skłamała. Ktoś powiedział przedemną, że palma niemoralności i głupoty należy się hrabiemu de Varsange, ale że ten ktoś był gościem mojego ojca, więc, rozumiesz pan, że nie mogę wymienić jego nazwiska.

Nie nalegał więcej. Odparł tyko z prostotą:

— Dziękuję pani.

Odszedł, a mnie dostała się okropna bura i zasłużona... Papa zagroził, że mi nie pozwoli jadać przy stole. Domyśla się, że pan Piotr pójdzie wytargać uszy temu kłamcy, adwokatowi. Dobrze mu tak! Czemu spotwarza poczciwych ludzi? Przecie się strzelać nie będą, adwokat z notarjuszem... Żeby to byli oficerowie, to co innego...

28-go czerwca. Pan Piotr przysłał ojcu zwitek papierów i list, w którym pisze;

„Kiedy pan słyszałeś potwarz, zechciej przeczytać prawdę“...

Rulon papierów zawierał ustępy z jego własnego dziennika, pisanego podczas długich zimowych wieczorów. Jest to jego wła-

sna historja, a więcej historja jego przyjaciela.

O, jakże słusznie mógł się oburzyć! Adwokat nikczemnie skłamał. Hrabia Henryk nigdy nie mógł ojcu przebaczyć powtórnego małżeństwa i dla tego nigdy za życia ojca, noga jego nie postała w Varsange, a gdy rzucił wierzycielom na pastwę własne swoje mienie i ta znienawidzona przez niego macocha pozostała bez środków do życia, zabrał ją do siebie, dzieląc się z nią oficerską swoją pensją, jedyną rzeczą, która mu pozostała.

Jak to pięknie! Ach! jak to pięknie!

1-go lipca. Pan Piotr będzie się strzelał z mojej przyczyny, to jest z przyczyny mej gadatliwości. Boże! jaka ja jestem nieszczęśliwa!

Papa i mama robią mi gorzkie wymówki od rana do wieczora. Papa stroskany bardzo, pojechał do Besançonu, gdzie sprawa ta stała się głośną.

Pan Piotr dowiedział się z łatwością, kto był u nas w wigilię dnia tego i udał się do miasta, do klubu, gdzie właśnie znajdował się adwokat, znany ze swego złego języka. Opowiadał niestworzone rzeczy o Varsangach, nie oszczędzając nawet świętej hrabiny. Pojedynek jest nieuniknionym.

Co ja cierpię!... o, Boże! co cierpię!

Poszłam na cmentarz; złożyłam wieniec z najpiękniejszych kwiatów na grobie hrabiny Edyty, prosząc jej, aby się wstawiła do Boga za tym zacnym młodzieńcem, który strzelać się będzie za nią — przeze mnie.

Szkoda, że pan Piotr nie jest hrabią, kiedy mama tak hrabiów lubi, bo to niezaprzeczenie jest człowiek z sercem.

3-go lipca. Co za szczęście! Bóg mnie wysłuchał.

Otrzymał tylko lekką ranę, co go zmusza nosić rękę na temblaku. Tak mu z tem do twarzy, tak mu to daje wygląd wojskowy! Adwokat dostał kulę w bok, ale nie umrze z tego, choć odchoruje długo. Koniec końców, byłam narzędziem sprawiedliwości Bożej.

Kiedy wszedł, podałam mu serdecznie rękę, mówiąc:

— O! takem się bała o pana.

On odparł wdzięcznie:

— Dziękuję pani.

Wydawał się wzruszonym, a ja... ja bardzo niemądrze zaczerwieniłam się.

15-go lipca. Odkąd przeczytałam rękopis pana Piotra, to uczucie żalu i zgryzoty sumienia, jakich doznawałam odnośnie do kupna tego zamku, wzmogło się jeszcze. Postanowiłam wprost go poprosić o objaśnienie. Przed wieczorem więc, poszłam go czekać na końcu lipowego szpaleru. Nie wiem, czy to wypadało.. no, ale dla czegożby nie miało wypadać? Cóż w tym złego? Odkąd tak ostro przemówił do mnie, trochę się go boję; czułam się też nieco onieśmieloną, ujrzawszy go, jak szedł smutny ze spuszczoną głową. Podniosłam się z ławki, a on, spostrzegłszy mnie, zawołał:

— Panna Lola!

Jest tysiąc sposobów powiedzenia: „Panna Lola“. Tym razem brzmiało to, jak pieszczota. Podeszłam szybko do niego.

— Panie, co to znaczy: zrobić dobry interes?

Spojrzał na mnie zdziwiony.

— Dobry interes, pani, to znaczy, umiejętna spekulacja, w której jedna ze stron znajduje pewną korzyść dla siebie.

— A druga strona?

On roześmiał się.

— Obie strony nie mogą zyskiwać jednocześnie. Co jedna zyskuje, to druga traci.

Ja na to:

— Ojciec mój utrzymuje, iż kupując Varsange, zrobił dobry interes.

Jego twarz spochmurniała w jednej chwili.

— Zapewnie, pani — rzekł.

— Dobry interes, ze stratą pańskiego przyjaciela, kapitana de Varsange, który zrobił zły interes.

— Henryk nie miał interesu na względzie, pani. Poddał się najuciążliwszemu, jakie istnieje na świecie, prawu konieczności.

— Gdyby był sprzedał ten majątek za rzeczywistą jego wartość, byłby wziął drożej za niego, nieprawdaż?

— Niezaprzeczenie. Gdyby go był zbył według naszego oszacowania. Trudno jest zresztą oznaczyć dokładnie wartość wielkich posiadłości, które obecnie bardzo spadły w cenie.

— A jakaż jest różnica między naszem oszacowaniem, a ceną kupna?

— Bardzo duża, niestety! Około stu tysięcy franków.

— Więc mój ojciec winien jest sto tysięcy panu de Varsange?

— Daruje pani. Pan Mignet nic nie jest winien Henrykowi, który przystał na warunki kupna.

— Tak, przystał, ulegając prawu konieczności, jak pan powiedział. Otóż mnie się zdaje, że myśmy nie powinni byli korzystać z tej okoliczności. Mój ojciec jest człowiekiem od interesów, ale wszak jest coś ważniejszego nad interesa? Poproszę więc papy, aby oddał pańskiemu przyjacielowi te sto tysięcy, a nie. to ja je zapłacę z mojego posagu Będę miała dziewięć kroć, zamiast miljona, to dosyć. Uprzedzę o tem mego przyszłego męża. Tym sposobem, hrabia Henryk będzie mógł zapewnić los swojej macosze i odzyskać swobodę.

On słuchał, nie przerywając, a kiedy skończyłam, szepnął:

— Jakaś pani dobra!... bardzo, bardzo dobra!...

— Więc tę sprawę możemy uważać za załatwioną?

On uśmiechnął się.

— O tyle, że zyskałaś sobie pani najgłębszą moją wdzięczność swoim szlachetnym porywem serca. Ale o tych stu tysiącach nie ma co mówić Henrykowi, bo nigdy by ich nie przyjął.

— Dlaczego? To tylko restytucja.

— Nie, toby zakrawało na jałmużnę.

— A jednak trzy miesiące temu byłby przyjął?

— Bo wtedy było kupno.

— Zastanów się pan jeszcze, namyśl...

Nie mogłam więcej nalegać, bo papa i mama ukazali się na końcu szpaleru, zdziwieni mocno widokiem nas obojga i żywością naszej rozmowy. Kiedy pan Piotr odszedł, mama zapytała mnie o przyczynę tego niezwykłego faktu.

Nie umiem kłamać, więc opowiedziałam poprostu rzecz całą i propozycję z jaką wystąpiłam. Papa się nie gniewał; przeciwnie, uśmiechał się bardzo z mego sposobu traktowania interesów.

— Patrzcie no! — rzekł — ta mała chce rozrzucać setkami tysięcy, jak szelągami!

Ale mama nie mogła się uspokoić, że postąpiłam przeciwko konwenansom, idąc na spotkanie młodego człowieka, aż na koniec alei. Papa wziął mnie w obronę i powiedział, że nie widzi w tem nic niestosownego.

17-go lipca. Dziś znowu otrzymałam list od Maryni. Opisuje mi swój *ralyer paper.* Podobno to gra bardzo zabawna, która się odbywa w lesie. Papierki rozrzucone są wszędzie, pod drzewami. w krzakach i chodzi o to, aby je odszukać. Zadanie to spełniają oficerowie konno i w mundurach; potem jedzą ciastka, piją szampana i tańczą. Rozpisuje się ona znowu szeroko nad swoim wice-hrabią. Powiada, że on był *zwierzęciem.* Co to może znaczyć? Co mnie dziwi, to to, że zdaje się być bardzo dumną z tego. Jest też z czego!

Tym razem opiszę jej pojedynek pana Piotra. Ciekawam, co też na to powie.

18-lipca. Dziś wieczorem, po obiedzie, powiedziałam do mamy:

— Chcę przejść się trochę; pójdę na spotkanie pana Piotra. Pójdź ze mną, mateczko.

Ale mama, która lubi drzemkę po obiedzie w fotelu, odmówiła. Poszłam więc sama, ale spóźniłam się i zastałam go już tuż przy drzwiach. Zaproponowałem mu spacer po parku. Wyglądał tak, jak gdyby miał wielką ochotę przyjąć propozycję, jednakże nie śmiał i wahał się, co widząc, rzekłam:

— Papa pozwala. Nie widzi w tem nic niestownego.

Wtedy rozpromienił się tak, jakbym mu otwierała wrota raju. Jak to małą rzeczą można czasem zrobić komuś przyjemność!

Boże! jakiż to cudowny był wieczór! taki cichy, wonny, skąpany w blaskach słońca, które tylko co zaszło w obłokach złota i porpury rozlanej w przestworzach. Wązki sierp księżyca wypłynął na błękit bez skazy; wszystkie odgłosy życia milkły w uciszeniu powszechnem.

Zdawała mi się, że miałam tysiące rzeczy do powiedzenia memu towarzyszowi, tymczasem szeptałam tylko bardzo cicho:

— Jaki piękny ten świat Boży! jaki piękny!...

A on ciszej jeszcze powtarzał z głębokiem przyjęciem:

— O! tak, jaki piękny!...

Byłabym chciała spędzić tak z nim razem cały wieczór, patrząc na ciemniejący błękit nieba, na ostatnie blaski dzienne, roztapiające się w mrokach, ale nie mogłam nadużyć pozwolenia papy. Choć ze smutkiem, musieliśmy wrócić do salonu.

19-go lipca. Marynia odpisała mi bardzo poczciwy list, po którym już nigdy nie uczynię jej żadnych zwierzeń. Wyśmiewa się z pana Piotra i jego pojedynku i z moich śmiertelnych obaw, pytając szyderczo, jaką bronią notarjusze i adwokaci rozstrzygają swoje sprzeczki: ołówkiem, czy linją? Że jako córka wojskowego, oswojona jest trochę z honorowemi sprawami, to rozumiem, ale mogła też trochę wziąć do serca mój niepokój i nie żartować sobie z niego. Obawiam się, że ona niema serca.

Pisałam jej także, iż mam zamiar wydać się za hrabiego Henryka de Varsange. Zapytuje mnie na to, czym oszalała, że chcę wyjść za kogoś dla tego tylko, że jest zrujnowany.

„Wice hrabia — pisze mi — jest bardzo bogaty. Trzyma nawet konie wyścigowe i jest *szyk* w całem znaczeniu“. Powiedziała *szyk*, ale mnie się zdaje, że to jest wyrażenie bardzo niestosowne w ustach młodej panienki. Muszę jej zrobić tę uwagę.

Odpisałam jej bardzo ostro. Upewniałam ją, że notarjusze strzelają się na pistolety zupełnie tak, jak wice-hrabiowie; że otrzymują rany za swoich przyjaciół i są bardzo inteligentni i nigdy nie pozują na zwierzęta.. Dobrze jej tak! Niech ma za swoje!

Dodałam też, że to nie żadna zasługa trzymać konie wyścigowe, bo każdy to potrafi, jeżeli ma pieniądze. Zobaczymy, co mi odpisze, ale obawiam się, że się nie porozumiemy na tym punkcie.

20-go lipca. Dziś składałam z rodzicami wizytę.

Pani Gébo, żona sędziego przyjęła nas w pokoju, którego przeznaczenia trudno były się domyśleć. Na fotelach leżały rozrzucone w nieładzie suknie, resztka jakiegoś pasztetu walała się na marmurowym stoliku, na fortepianie stały rzędem poustawiane słoiki konfitur, a ilustrowana książka walała się na podłodze.

Panna Genia Gébo pomagała matce uprzątać zbyteczne przedmioty, pakując je pod stół i kanapę. Ani jedna, ani druga nie zdawała się wstydzić tego nieporządku; przeciwnie, uradowane były z naszych odwiedzin. Panna Genia jest bardzo ładna, świeża jak różyczka, ma oczy czarne, usteczka zawsze rozchylone wesołym i szczerym uśmiechem. Zapomniała się tylko uczesać, więc poprawiała sobie ciągle włosy ręką. Unikałam patrzenia na nią, aby jej nie żenować, ale ona odezwała się pierwsza:

— Nie miałam czasu jeszcze się ubrać, bo bawiłam się z dziećmi. Mam trzech braciszków i cztery siostrzyczki.

— Przyprowadź mi ich, pani — prosiłam. — Będą biegały sobie po parku, a my tymczasem będziemy rozmawiały.

Podziękowała mi za to serdecznie, a ja dodałam:

— Jeżeli pani chce, mogłybyśmy grywać na cztery ręce; ale ja gram bardzo źle.

Rozśmiała się.

— A ja wcale nie. Nie cierpię fortepianu.

— I ja również, ale każą mi grać, więc muszę.

Zaczęłyśmy rozmawiać o tem i owem; przekonałam się z przyjemnością, że mamy wiele wspólnych upodobań. Zdaje mi się, że dopasujemy się do siebie, bo ona nic, a nic nie pozuje na wielkość, tak jak Marynia.

Naraz Genia przestała opowiadać.

— Posłuchaj pani, co mama mówi — rzekła. — Trzeba, abyś poznała tych ludzi.

Pani Gébo opowiadała szybko, grubym głosem, niekiedy zdławionym łzami, sprzeczkę swoją z panią Hurbin, żoną poborcy.

— Widywaliśmy się często i żyliśmy w bardzo poufałych stosunkach. Kiedy Kajetan Hurbin przyjeżdżał na wakacje, więcej przesiadywał u nas, niż w domu, bo mu było weselej. Powzięłam myśl zaprosić ich wszystkich na obiad w dzień Nowego roku, a wraz z nimi całe wykwintne towarzystwo z miasteczka. Sprowadziłam w tym celu pasztet. Zaczęłam zapraszać gości. Pani Hurbin nie zastałam. Ksiądz proboszcz i panna de Journauds przyrzekli być, a doktor Bonauld odpowiedział, że tego dnia właśnie zaproszony jest do Hurbinów. Myślałam, że się rzeczy dadzą jakoś ułożyć, ale gdzietam! Pani Hurbin uparła się, ja też. Tego dnia więc odbyły się dwa paradne obiady w Varsange. Nasz był liczniejszy, bo nas jest ośm osób w domu, ale nie mieliśmy polędwicy, bo rzeźnik jej oddał. Ona robi, co chce; rządzi się, jak szara gęś.

Okrągła twarz pociwej pani Gébo kurczyła się ze wściekłości. Tu Genia wtręciła swoje, mówiąc jednocześnie z matką:

— Nie uwierzą panie, jak to nieprzyjemnie jest żyć w sąsiedztwie z taką kobietą. Zagarnia dla siebie kurczęta, zwierzynę, najpiękniejsze owoce; musimy żyć samymi odpadkami. A! bo my też nie czerpiemy, jak ona, z kasy rządowej! Nareszcie, dzięki pani, będzie musiała spuścić z tonu, bo pani zapłacisz wyższą cenę od niej.

Ale mama zaprotestowała żywo, że nie myśli wcale płacić wygórowanych cen, przejęła się gorąco nieszczęściami pani Gébo i najgorzej usposobiona dla tej niegodziwej pani Hurbin, wybrała się do niej z następną wizytą. Tu czekało nas zabawne przyjęcie. Naprzód jakaś brudna i nieumyta dziewczyna uciekła na nasz widok, potem stara jakaś kobieta, w końcu ogrodnik chciał nas odprawić gburowato, dowodząc, że dziś nie dzień pobierania opłat. Dałyśmy mu do zrozumienia, że nie przyszłyśmy do pana poborcy, ale do pani, wtedy zaczął grubym głosem wołać: „Joasiu"! Joasia wprowadziła nas do salonu o przymkniętych okiennicach i oświadczyła, że pani przyjdzie zaraz, tylko włoży suknię.

Upłynęła długa chwila, podczas której oczy nasze przyzwyczaiły się do ciemności i zaczęły rozróżniać fotele w pokrowcach, poustawiane pod ścianą, zegar i kandelabry osłonione bibułką, siatkową serwetę w siarczyste róże, rozesłaną na zapylonym stole, bukiet sztucznych kwiatów w wyszczerbionym wazonie. Papa zaczął się niecierpliwić, kiedy nareszcie pani domu zrobiła tryumfalne *entrée* w paradnej tualecie, tłómacząc się, że służąca nie mogła jej odszukać w ogrodzie. Złożywszy nam trzy głębokie ukłony, schwyciła obie ręce mamy, przycisnęła je do serca, wyrażając miodowemi słowy radość, jaką jej sprawiało nasze przybycie. Po chwili zapytała nas, czy widzieliśmy panią Gébo? Na twierdzącą naszą odpowiedź, wzniosła oczy do nieba i tonem słodziutkim wycedziła;

— Och! ta poczciwa pani Gébo! taka dobra kobiecina... Lubiłam ją dosyć niegdyś, ale..

Tu się zaczął cały szereg *ale*, z którego dowiedzieliśmy się, że pani Gébo nie płaci swoich dostawców, że zaciąga wszędzie u przejaciół drobne dłużki, że mając pięć córek, bałamuci jej syna Kajetana i że ta ładna, zalotna Genia była najgorzej wychowaną osóbką, jaką można napotkać na świecie.

Wtedy wymiarkowałam, że miód pani Hurbin zawiera dużą przymieszkę octu.

Mówiąc o pannie Journaulds, nadmieniła:

— I ta biedota ma pretensję do arystokracji, kiedy nie ma co do ust włożyć.

A o panu Piotrze:

— Ten poczciwy pan Dubois daje się oszukiwać chłopstwu. Nie bardzo sprytny, jak na notarjusza. Jabym mu nigdy nie powierzyła kapitałów, bo ma za miękkie serce.

I wszystko to recytowała głosem słodkim i przewlekłym Nie gryzła, chrupiąc głośno, jak ten adwokat, ale drapała cicho, jak kot.

Najgorsze to, że źle usposobiła mamę do pani Gébo. Mama postanowiła trzymać ją w odległości od siebie z obawy, aby nie prosiła jej o pożyczkę.

21-go lipca. Spacerowałam wczoraj po parku z panem Piotrem. Opowiedziałam mu naszą wizytę u państwa Gébo i Hurbin i sprzeczkę z przyczyny polędwicy, a że posiadam dar naśladowania, udawałam doskonale gruby, rozłoszczony głos pani Gébo i słodziuchne tony pani Hurbin; śmiałam się, byłam bardzo dowcipną, tak mi się zdawało przynajmniej, kiedy nagle spojrzawszy na mego towarzysza, spostrzegłam, że się wcale nie śmieje, przeciwnie, ma minę bardzo zafrasowaną. Spytałam się go o przyczynę; zrazu zawahał się, w końcu rzekł:

— Niech się pani wystrzega złośliwości, panno Lolo, bo to wada pokrewna obmowie. Jesteś pani dobrą i szkodaby było psuć tę dobroć. Wszyscy ci biedni ludzie cierpią więcej, niż pani sobie wystawia z przyczyny tych drobnych nieporozumień, które im zatruwają życie. Drobne zazdrości, plotki powtarzane powodują gniewy i zawiści, które zaostrzają coraz bardziej wzajemne stosunki i psują cały urok sąsiedzkiego pożycia. Życie nie jest łatwe na partykularzu. Pani, która jesteś otoczoną pomyślnymi warunkami i nie zaznajesz nigdy drobnych trosk i kłopotów, bądź pobłażliwą dla tych, którzy mniej od ciebie uprzywilejowani są od losu.

Znowu drugie kazanie? On, doprawdy, taki surowy, że świętemu jeszczeby znalazł coś do zarzucenia. Pomiarkował się szybko i rzekł:

— Ale jakiem prawem ja to mówię? Przepraszam panią, panno Lolo. Już nigdy nie będę...

Zaczęłam go błagać, aby przy pierwszej sposobności napomniał mnie znowu. Bo ja, doprawdy, zaczynam lubić jego kazania. Jest w nich jakiś szczere zajęcie się mną, trocha szacunku, no, i dużo cierpliwości.

23-go lipca. Nie wiem dla czego moje spacery z panem Piotrem zdają się niepokoić mamę. Że mam dla niego wiele szacunku, wiele przyjaźni, to pewna. Ale ztąd do miłości jeszcze daleko. Zresztą, namyśliłam się; chcę męża z tytułem, a przynajmniej ładnie brzmiącem nazwiskiem. Pani Piotrowa Dubois... nie, to mi się nie podoba. Hrabina de Varsange... to rozumiem!

Zdaje mi się zresztą, że i matce ta myśl przyszła do głowy, bo się wczoraj wypytywała pana Piotra o wszystkie szczegóły szlachectwa de Varsangów, o ich herby, dewizy i t. p. Zdawała się zadowoloną z odpowiedzi. Kapitan Henryk jest dosyć dobrym szlachcicem, aby mieć zaszczyt pojąć mnie za żonę.

Papa zaś, dowiedziawszy się, jak świetnie ukończył szkołę politechniczną, wyraził głębokie ubolewanie, że zamiast wstąpić do wojska, nie został inżynierem.

Dla czego mu na tem zależy?

25 go lipca. Stało się... Poprosiłam o rękę kapitana Henryka. Jakem się ja zdobyła na tę odwagę, to doprawdy sama nie wiem, dość, że do tego jakoś przyszło.

To wina pana Piotra... nie inaczej.

Od czasu tej odrzuconej oferty stu tysięcy franków, nie rozmawialiśmy już więcej podczas naszych spacerów o kapitanie de Varsange, tylko o sobie. Opowiedziałam mu całe moje życie, mój pobyt w klasztorze, wyliczyłam mu moje nauki, nagrody i wszystkie moje serdeczne przyjaciółki. On zdawał się żywo tem interesować. Ze swojej strony opisywał mi trudności, jakie napotykał na wstępie życia i żal, iż zmuszony był zaniechać świetnej karjery dla pospolitego zawodu notarjusza wiejskiego.

(C. d. n.)

W lot.

== Dr. Leon Piętak, minister dla Galicji, poseł na sejm i do Rady państwa.



Jakkolwiek w początkowych numerach *Tygodnika Narodowego* w roku zeszłym, zamieściliśmy wizerunek dr. Piętaka — ze względu jednak na toczące się wypadki i sprawy, które są aktualne, powtarzamy w dzisiejszym numerze ten wizerunek, mając także na celu nowych prenumeratorów. tegorocznych, którzy wizerunku dr. Piętaka nie widzieli.

== Hołd.

Sokolstwo polskie w Galicji, obchodziło w tych dniach uroczyście, dwudziestopięcioletni jubileusz służby sokolskiej, p. Antoniego Durskiego, sympatycznego, popularnego i powszechnie szanowanego naczelnika lwowskiego »Sokoła«. Jubileusz uroczyście i można powiedzieć siarczyście obchodzono przedewszystkiem we Lwowie, w sali tutejszego »Sokoła«, zorganizowanym publicznym wieczorem, na którym wypowiedziano piękne mowy na cześć jubilata, oraz złożono mu wieńce i kwiaty. Naturalnie, towarzyszyły śpiewy i muzyka, bo te są zawsze podniosłą illustracją każdej takiej uroczystości. Z prowincji od gniazd sokolich, również jak i z poza kordonu, jubilat otrzymał adresy i serdeczne powinszowania, a na cześć jego urządzono po prowincjonalnych miastach, wieczornice sokole.

Dwudziesty szósty rok swojej uczciwej i pożytecznej pracy, rozpoczyna p. Antoni Durski wśród ogólnego szacunku w szerokich kołach naszego społeczeństwa i tej serdecznej miłości koleżeńskiej, którą się chlubić może całe życie.

== Ś. p. ksiądz Łukasz Ostoja Solecki, biskup przemyski.

W Przemyślu zmarł. jak doniosły już pisma codzienne, tamtejszy biskup obrządku łacińskiego: ksiądz Łukasz Ostoja Solecki, który długi czas przebywał we Lwowie, jako wikarjusz jednej z tutejszych parafji, docent i później profesor tutejszego uniwersytetu na wydziale teologicznym, rektor seminarjum duchownego, kanonik katedralny i wreszcie długoletni radny miasta. Zmarły, na wszystkich stanowiskach odznaczał się gorliwem wykonywaniem swoich obowiązków i wrodzoną mu skromnością, choć zawsze powodował się nieugiętym charakterem, a nawet do pewnego stopnia łagodnym uporem. Był też powszechnie szanowany, nawet przez inowierców. Zmarły ś. p. biskup, pochodził ze szlacheckiej rodziny, osiadłej w okolicach Sokala, która tak dalece zubożała, że syn Łukasz, od najmłodszych lat szedł o swoich własnych siłach. Nauczony doświadczeniem i ciężkimi trudami, jakie przebył za lat młodych, był później ks. Łukasz oszczędnym i gromadził grosz do grosza. Gdy był we Lwowie na skromniejszem stanowisku, świadczył dużo dobrego w około siebie, a znany był z tego, że i biednym żydom chętnie udzielał jałmużny. Przeniesiony po ś. p. ks. Hirschlerze na stolicę biskupią do Przemyśla, dużo bardzo łożył na restaurację pięknej tamtejszej gotyckiej katedry. Mimo to i mimo, że był zawsze skłonny do niesienia pomocy cierpiącym bliźnim, zostawił ś. p. biskup Solecki bardzo znaczny majątek, bo wynoszący półtora miljona koron. Zapewne część tego majątku, naturalnie znaczna, przypadnie na rzecz rodziny. O ile wiemy, tutejszy kupiec, p. Leonard Solecki, będzie również partycypował w spadku po ś. p. biskupie, gdyż był jego bratankiem. Jeśli się nie mylimy, proboszcz w Brzeżanach, ks. Solecki, jest również bliskim krewnym zmarłego księdza biskupa przemyskiego, a wdowa i dzieci, pozostałe po ś. p. Soleckim, długoletnim sekretarzu kancelarji Romana hr. Potockiego we Lwowie, są również w bliskiem ze zmarłym pokrewieństwie. S. p. biskup przeżył lat 73, z tych w kapłaństwie lat 50.

== List Henryka Sienkiewicza do baronowej Suttner.

»Pani Baronowo!

Na odjezdnem z Warszawy odebrałem drukowany list Pani, z propozycją podpisania odezwy do wszystkich wspaniałomyślnych dusz w Anglji, aby starały się zapobiedz wojnie, toczącej się w południowej Afryce. W liście tym czytam także, że autorem odezwy jest tajny radca W. Foerster z Berlina i że do niego można adresować odpowiedź.

Ponieważ donosi Pani, że do podpisania swych nazwisk zostało wezwane szczupłe tylko grono najwybitniejszych osobistości, przeto przysłanie mi listu pochlebia mi nie mało. Z drugiej strony, umiem również ocenić szlachetne zasady tak Pani, jak p. W. Foerstera i uczcić zasługującą na najgłębszy szacunek Jej działalność, nakoniec zaś, jako syn nawskroś humanitarnego narodu, współczuję głęboko z wszelką ogólną niedolą i z wszelkiem cierpieniem.

A jednak odezwy podpisać nie mogę.

Nie mogę, albowiem wydaje mi się jakąś niesłychaną ironją, czy też jakiemś potwornem bałamuctwem taki kierunek humanitarnych idei i taki stan najszlachetniejszych nawet umysłów, w którym potępia się tak gorąco objawy przemocy pod biegunem południowym i odczuwa się całem sercem nieszczęścia tak odległe, a nie widzi się, nie słyszy i milczy o najbliższych i najgłębszych. Pani! Praca wasza i zadanie wasze leży bliżej was. — Mnie i każdemu polakowi z całej duszy żal boerów, żal tej szlachetnej krwi anglo-saskiej, która leje się na drugim końcu świata, żal mi matek, wdów i sierot — pozwalam sobie jednak zestawić tę niedolę z niedolą bliższą nam i zarazem postawić Pani kilka pytań, z tem związanych.

I Pani i p. W. Foerster z Berlina należycie do narodowości niemieckiej, niechże więc wasze zacne dusze odpowiedzą same sobie, czy los tychże boerów nie byłby stokroć bardziej bolesny i opłakany, gdyby walczyły z nimi i miały ich zwyciężyć wojska tego państwa, które nie uważa się za mniej kulturalne od Anglji, a które wydało jednakże hakatyzm? Czy nad zwyciężonymi nie zagrzmiałoby złowrogie słowo »ausrotten«, czy nie użytoby wszelkich brutalnych środków do ich wynarodowienia, czy nie odjętoby im wolności, czy nie katowanoby ich dzieci za każde słowo w rodzinnej mowie wyrzeczone, czy nie pozbawionoby ich języka i nie usiłowano ich wyprzeć z ziemi?

Odpowiedzcie sami sobie, czy pod panowaniem angielskiem możliwy jest taki stan rzeczy, w którymby zmuszano ludność miejscową do płacenia podatków, po to, by one przyczyniły się do powstawania miljonowych sum, przeznaczonych na wykupno ojczystej ziemi tej ludności — i na wyrzucenie z niej odwiecznych mieszkańców?

Czy w państwie ucywilizowanem, może istnieć coś bardziej przewrotnego i głębiej niemoralnego? Czy może istnieć większa krzywda, większe cierpienie i czy — i Pani i p. Foersterowi z Berlina — nie nasunęły się nigdy z tego powodu na myśl słowa Danta: *Nessun maggior dolore?*

Oczy wasze błąkają się po przestworzach oceanu i wzrok leci na krańce ziemi, a przecie Poznańskie, Szląsk i Prusy Zachodnie leżą tuż obok was! Pan radzca W. Foerster zna te kraje, wie jak obfitym potokiem płynęła krew ich mieszkańców na polach Francji — i wie, jak im za to obecnie wypłacają; wie, jak coraz nowe prawa uchwala przeciw nim znieprawiony sejm, słyszy, co się dzieje w szkołach, jaka żelazna i brutalna pięść cięży nad każdem objawem polskiego życia — wszystko to wie i prawdopodobnie potępia.

Bo przecie tu nie chodzi o garść przybyłych z za morza osadników, ale o naród zasłużony ludzkości i tak na swej ziemi odwieczny, że ta ziemia, to proch kości i ciał całych jego pokoleń.

Więc Pani! Zanim zaczniecie się zajmować Afryką, znajmijcie się Europą. Olbrzymie zadania humanitarne leżą tuż obok was. Pracujcie nad tem, aby ogólna dusza niemiecka uszlachetniała tę hakatystyczno - państwową i brońcie, aby sama nie została przez nią znieprawiona. — Anglja wydała wielkiego ministra, który całe życie pracował nad odzyskaniem praw skrzywdzonej Irlandji — pokażcie mi gdzie takiego drugiego w Europie! Dajcie tymczasem spokój duszy angielskiej, bo ona sama w sobie odnajdzie to wszystko, do czego wy dążycie, a pracujcie bliżej. Podnoście polityczną moralność i uszlachetniajcie sumienia. Niech się rozproszą chmury bezprawia i przemocy, niech powiew prawdziwego humanizmu odświeży zatrute powietrze hakatystycznych koszar. Nieście »dobrą nowinę« waszym najbliższym, nieście słowa miłości. Pracujcie nad tem, aby Chrystus zapanował w domu waszym i w waszych dziejach. — Macie po temu serca — miejcie i wolę.

Henryk Sienkiewicz«.

== Kanał sueski.

Handlowe znaczenie kanału sueskiego, pomijając polityczne, ocenić można z kilku cyfr, które wyjmujemy z »Economiste francais«. W roku zeszłym do dnia 10 września przeszło przez kanał 2,603 wielkie okręty. Dochody osiągnięte z kanału wyniosły w 1898 r. 85,040,000 franków, w 1899 roku zaś do 14. września 66,000,000, gdy w odpowiednim okresie 1898 roku nie przenosiły 61,050,000 franków. Pierwsze więc 8 miesięcy zeszłego roku, dały w stosunku do takiego samego okresu roku zaprzeszłego blisko 5 miljonów franków przewyżki. W podanej powyżej liczbie okrętów, objęte są tylko wielkie statki, z pominięciem pomniejszych barek, o ich wielkości zaś może dać pojęcie, że 313 okrętów, które przeszły przez kanał w lipcu r. z., obejmowały 1,200,734 tonn, co daje na przeciętną wielkość jednego okrętu prawie 4,000 tonn. Główny dochód kanału powstaje z opłat, pobieranych od przewozu towarów, opłata bowiem za przejazd pasażerów sto-

sunkowo niewielką sumę stanowi, tak np. w tym samym miesiącu lipcu opłata od objętości statków 1,200,734 tonn, wyniosła 7,718 320 fr. 27 ct., opłata zaś od pasażerów tylko 108,340 franków. Z powyższego więc widzimy, jak kolosalne źródło dochodu stanowi dzisiaj dla anglików, posiadaczy prawie wszystkich jego akcyj, kanał sueski, dzieło Francji i francuskiego inżyniera Lessepsa i jaki cios zadałby handlowi Anglji ten, kto opanowszy, Suez podyktowałby warunki jej handlowi.

= Kształcenie woli u młodzieży.

Od zasad, którem wola się kieruje, zależy wartość charakteru u ludzi, jaka bowiem wola, takie uczynki. Ponieważ ćwiczenia gimnastyczne, które muszą być wykonywane na rozkaz szybko, w tempie i ściśle, wymagają wysiłku woli i są tem samem niejako ćwiczeniem woli, przeto pewien szwajcarski profesor gimnastyki z Lozanny, zastanawia się w rozprawie na ten temat nad kształceniem woli i dotyka przy tem innych ważnych względów, odnoszących się do kształcenia woli, które zasługują na uwagę.

Powiada on, że pierwszą rzeczą, której trzeba nauczyć dziecko, odkąd ma świadomość woli, jest to, aby wiedziało jasno czego chce, ponieważ chwiejność, brak decyzji jest pierwszą wadą charakteru.

Ażeby zaś kształcić silne i stałe charaktery i ustrzedz dzieci od chwiejności i słabej woli, nie należy łamać woli dziecięcej, lecz nią kierować, ażeby nauczyło się ustępować przed naturalnemi i nieprzezwyciężonemi przeszkodami. Nie należy dozwalać dziecku być despotą, ale nie godzi się uważać go za niewolnika. Nie wychowa się go na człowieka wolnego, jeżeli zniewala się go słuchać ślepo nierozsądnych często rozkazów; nie należy też sprzeciwiać się zawsze jego skłonnościom i upodobaniom, jeżeli są dobre.

Błądzą rodzice i wychowawcy, myśląc i przewidując wszystko za dziecko, lecz owszem należy skłaniać dzieci, aby same o sobie myślały, same sobą kierowały, a tylko, jeżeli zbaczają z drogi dobrej, należy je prostować.

Wolą dziecka należy tak kierować, aby ono myślało, że samo sobą kieruje, a w każdym razie nie należy przytłumiać objawów samodzielności. Słaba wola jest wielkiem nieszczęściem, ale jeszcze większem brak wszelkiej woli.

= Wywóz koni z Austrji do innych państw, wynosił w roku ubiegłym razem 58,698 sztuk, a mianowicie: do Niemie 14,041 sztuk, do Francji 7,781, do Włoch 29.974, do Ru munji 4,225. Do pozostałych państw innych, tylko małe ilości. Jak z zestawień szczegółowych za poszczególne miesiące widać, wywóz koni z Austrji, wzrasta regularnie co roku od stycznia do maja, np. w roku ubiegłym z 2.544 w styczniu, na 7,023 w maju, potem ku jesieni powoli maleje. Powtarza się ten objaw każdego roku.

Gazetka teatralno-artystyczna i literacka.

Dzierżawcę z Olesiowa przywiózł nam p. Przybylski z Warszawy i przedstawił go lwowskiej publiczności po raz pierwszy w ostatni piątek. Sztuki p. Przybylskiego, mianowicie też spektaklowe, są tak podobne do siebie, że gdyby autor nie podał na afisz swego nazwiska, łatwo je odgadnąć zaraz po pierwszych scenach. Inwencja autora *Wicka i Wacka* kręci się wprawdzie nie w zaczarowanem kole, ale wśród ogrodzeń szarego życia, które p. Przybylski rozjaśnia humorem, zdawkowym komizmem i konceptami pochwytanymi nie z pierwszej ręki. To do pewnego stopnia bawi, ale nie pozostawia żadnego głębszego wrażenia, o co, zresztą, zapewne autorowi nie chodzi. To samo jest i z *Dzierżawcą z Olesiowa* i jeśli się cokolwiek różni od starszych swoich braciszków i siostrzyczek — to chyba tem, że *Dzierżawca* ma więcej konceptów tłustszych i brakuje mu bardzo często nie tylko krawata, ale i czego innego.

Pan Przybylski, jako autor w ogóle, lubi w swoich sztukach zaprzątać dużo, bardzo dużo osób, choć zaledwie kilka z nich ma coś więcej do roboty. Epizod jedzie na epizodzie i epizodem pogania. Epizody te nie raz są zabawne i ratują skutecznie ubóstwo treści i często do niemożebności zmarniałe i oklepane postacie, których rysunek jest zawsze karykaturalny ze zastarzałych reminiscencyj.

Dzierżawca z Olesiowa w 4. aktach zajmuje, ni mniej, ni więcej, tylko dwadzieścia osób, a naprawdę jedynie dwie: Czerski i Ewa wysuwają się akcją na szerszy plan — reszta uwija się po scenie i pędzi na rozbrykanych konikach konceptu, jakiej komicznej sytuacyjki i dosyć ordynarnego humoru.

Panna Ordonówna i p. Sosnowski, nietylko dokumentnie wyeksploatowali z ról Czerskiego i Ewy wszystko, co było do wyeksploatowania, lecz wyposażyli te figury zasobem artyzmu i werwy.

Mimo rozproszenia w farsie p. Przybylskiego wszyscy biorący udział, grają z humorem, temperamentem i pomysłowością, podsycając tempo sztuki, które jest szybkie, migotliwe i pełne życia. No, i naturalnie, nie mogło być inaczej skoro role spoczywały w rękach pp. Gostyńskiej, Cichockiej, Stachowiczowej, Kwiecińskiej, Rożańskiej, Rybickiej, Modzelewskiej, Chmielińskiego, Feldmana, Walewskiego, Jaworskiego, Wysockiego, Zejdowskiego i Modzelewskiego — drobne zupełnie rolki, oczywiście pomijam i ten »lud«, oraz »służbę«, która w sztukach p. Przybylskiego podobne są do malowideł na załuszczonych kartach. *Przygodny.*

Opera Smetany *Dalibor* w tegorocznym sezonie, w tytułowej partji uległa zmianie. Zamiast p. Florjańskiego, który ją dawniej śpiewał u nas, mamy p. Myszugę. O porównanie mniejsza — zresztą, nie chodzi o krytykę, tylko o wrażenie. Otóż, p. Myszuga, jako Dalibor, miękkim i rzewnym swoim głosem, wywoływał sympatyczne wrażenie i tą miękkością, a liryzmem, zastępował ekspresyjną siłę bohaterskiego tenora tak, że to pod pewnym względem wychodzi na korzyść tej wielkiej i trudnej partji. Jak dawniej, tak i w tym sezonie, Miladą jest p. Arklowa, a partję Jutty, sieroty, prześlicznie śpiewa p. Bohussówna. Pięknym i dźwięcznym basem w partji Benesza, zachwyca p. Jeromin; doskonale śpiewa Władysława, króla czeskiego p. Szymański, a poprawnie i z prawdziwem zacięciem artystycznowokalnem mniejsze partje Wita i Budziwoja śpiewają pp. Malawski i Bogucki. Wystawa opery, jak zwykle za obecnej dyrekcji wspaniała, tak pod względem kostjumów, jak i stylowości, a rzecz dzieje się w XV. wieku w Pradze. *Omega.*

Świeżo ukazały się dwie broszurki, znanego ogrodnika i popularyzatora wiedzy ogrodniczej, pana Edmunda Jankowskiego: „O pieczarkach i szparagach" odbitka z książki „Ogród przy dworze wiejskim," i „Trawniki, ich zakładanie i pielęgnowanie." Zwracamy również uwagę interesowanych na tegoroczny katalog nasion i narzędzi ogrodniczych „Ogrodnika Polskiego", który oprócz zwykłej części katalogowej, zawiera rady ogrodnicze, kalendarz robót ogrodowych i opisy hodowli wszystkich ważniejszych roślin drzewnych, warzywnych, kwiatowych, traw pastewnych i t. p. Katalog ten stanowi więc dogodny poradnik dla ogrodników i właścicieli ogrodów.

Przegląd polityczny.

(*Cronje — jego charakterystyka; co o nim mówią i piszą w całej Europie*).

Cała prasa europejska poświęca mu długie biografje i fejletony, a wszędzie, nawet w czasopismach angielskich, brzmi nuta zachwytu dla lwa afrykańskiego.

Należał on razem z Krügerem, Joubertem, Schalk-Burgherem i zabitym niedawno Kockiem do kierowników i organizatorów transwaalskiej republiki. Brał udział we wszystkich niezliczonych walkach, jakie toczyli boerzy z krajowcami i z anglikami i nabrał ogromnego doświadczenia — poznał najdokładniej teren w całej niemal południowej Afryce, nie zaniedbując przytem strategicznych studjów. Kiedy w Pretorji nabrano przekonania, że wojna z Anglją jest nieunikniona, Krüger utworzył wielką radę wojenną, w której przewodniczył Joubert, ale której duszą był Cronje. Podczas *rid'eu* Jamesona, jemu zlecono wyparcie najazdu angielskich filibustierów. Cronje wywiązał się z tego zadania znakomicie i nie straciwszy ani jednego człowieka, wziął do niewoli całą bandę. Gdy Jameson wywiesił białą chorągiew na znak poddania, Cronje zdjął kapelusz z głowy i pierwszy zaintonował dziękczynną pobożną pieśń. Po wybuchu wojny, oddano mu główną komendę w Oranji, a jego prawdziwie homeryckie walki ped Graspan, Belmont, Modder-river i Magersfontein — gdzie mając 7 do 8 tys. ludzi, powstrzymał pochód 15.000 anglików i zadał im straszne klęski, są w świeżej pamięci ogółu.

Jeden z anglików, który znał osobiście Cronjego, tak go charakteryzuje: Jest to człowiek absolutnie bez żadnej trwogi, który zachowuje zimną krew i spokój wśród najsroższej bitwy. Pod Moder-river, kiedy Methuen sforsował już przejście przez rzekę i było rzeczą widoczną, że boerzy nie utrzymają się na brzegu północnym, kiedy działa angielskie rzucały pociski na odległość 1 kilometra, Cronje sam jeden stał na werendzie hotelu wzniesionego nad rzeką i obserwował spokojnie pozycje nieprzyjacielskie. Tuż koło niego pękł granat: Cronje zepchnął spokojnie nogą z ganku szczątki pocisku i zeszedł ze schodów, jakby się nic nie stało. Podczas bitwy pod Magersfontein, stał wśród gradu kul w pierwszych szańcach, uśmiechając się ironicznie od czasu do czasu, kiedy widział rozpaczliwe wysiłki anglików. W ogóle, Cronje literalnie tańczy na polach bitwy.

Jest to mężczyzna średniego wzrostu, silnie zbudowany, z długą brodą i wyrazem twarzy, pełnym dobrodusznej powagi.

Oprócz nadzwyczajnej odwagi, odznacza się Cronje licznemi domowemi cnotami i nie ma w sobie nic z tej srogości, o jaką go podejrzywają anglicy. Niezmiernie pobożny, rozpoczyna i kończy bitwę modlitwą. Jego towa-

rzysze i podwładni, poszliby za nim wszędzie na oślep i to jest pewne, że nie poddałby się anglikom, gdyby pozostała jakakolwiek nadzieja ocalenia.

Cronje pochodzi ze starej francuskiej hugonockiej rodziny, która wyemigrowała z Francji po odwołaniu edyktu nantejskiego. Jego nazwisko brzmiało pierwotnie Crognié.

O Cronjem tak między innemi pisze Kinnear, korespondent »Centrsl News«, w świeżo wydanej książce pod tytułem: »Do rzeki Modder z lordem Methuenem«.

»Charakter Cronjego jest wyrobiony pod każdym względem. Odwaga jego jest absolutnie nieograniczona, a pomysłów strategicznych ma tyle, co wszyscy nasi Moltkowie na »Pall Mall«. (Pałac ministerstwa w Londynie, znajduje się przy ul. Pall Mall). Jest swego rodzaju cynikiem; po bitwie nad rzeką Modder, ostrzegał lorda Methuena, by nie ścigał go, bo może wpaść w pułapkę, a potem pod Maggersfontein, czekał go za swymi płotami z drutu kolczastego (sprowadzonego, jak wiadomo na pewno, z fabryk w Birmingham) i zdziesiątkował mu highlanderów. W ogóle, postać głównokomenderującego armji zachodniej boerów, nie jest, ani w przybliżeniu podobną do tego, jakim go przedstawiają ilustracje angielskie. Gdyby się pojawił w jakim domu angielskim, powiedzianoby o nim, że przyszedł »pan z brodą«; a w Exeter Hall (miejsce zgromadzeń religijnych) wzięłoby go za nauczyciela ludowego, ale nigdy za człowieka, który dokładnie zna sposoby i środki prowadzenia wojny. Jego obroty robią wrażenie ruchów błędnego ognika; są one tak błyskawiczne i w Pretorji tak wiele na nich budują, że po zwycięztwie pod Maggersfontein, musiał pospieszyć do Natalu, by dopomódz Joubertowi w odparciu Bullera. O jego oddaleniu się nie miano pojęcia w obozie angielskim, a dowiedziano się o niem dopiero po jego powrocie«.

Dla uzupełnienia tej charakterystyki, dodaje Kinear, że bohater orański, jest właścicielem bogatej fermy pod Potchefstroom z 12.000 akrów (10 000 morgów) obszaru, na której wiedzie życie patrjarchalne w otoczeniu licznej rodziny i domowników.

Ciekawe, pożyteczne i praktyczne wiadomości.

Gdzie się podziewa srebro? Pytanie to słyszymy często, a odpowiedź nie jest wystarczająca. Mówi się o spotrzebowaniu srebra w przemyśle, ale mało kto wie, że są niektóre gałęzie przemysłu, wprost zjadające srebro tj. robiące z niego zupełnie coś odmiennego. Jedną z nich jest sporządzanie płyt fotograficznych, do których potrzebne jest srebro. Ilość srebra zużywana w ten sposób jest daleko większa, aniżeli możnaby przypuszczać. W jednej tylko fabryce płyt fotograficznych w Dreźnie, zużyto w ciągu dziewięcioletniego istnienia 5000 kg. srebra.

Alkohol z kaktusów. Francuz pewien odkrył, że roślina kaktusu Opuntia, nazywana figą Berberu, dziko rosnąca na wielkich przestrzeniach, zawiera w sobie obok znacznej ilości wody, także wiele cukru. Ze 100 gramów owocu, wydobyć można 14 i pół gr. cukru. Wyciśnięty sok poddano fermentacji i otrzymano z niego alkohol, mający miły aromat i dobry smak. Z tego alkoholu postanowiono wyrabiać likiery.

Przechowanie nasion. Zbyteczna rzecz mówić, jak wiele zależy na tem, żeby ziarno przeznaczone na zasiew, było w najlepszym gatunku. Tymczasem ziarno to częstokroć leży na gołem klepisku, albo na podłodze z desek źle spojonych, więc wysypuje się przez szczeliny i nieraz przepada dobre pół garnca na korcu, lub więcej. Nadto, do ziarna tak przechowywanego dostaje się wilgoć od spodu i zakaża dalsze warstwy. Podłoga w składzie nasion powinna być szczelną, najlepiej z cegieł wyłożonych cementem. Koszta jej urządzenia opłacą się trwałością i dobrem przechowaniem ziarna.

Ptaki w zimie. Ptaki w zimie są rzeczywiście politowania godne. A już w razie ostrych mrozów, a wielkich śniegów, skazane są one na zagładę, skoro im litość ludzka nie ułatwi przetrzymania tej dla nich strasznej pory. Ale i proste wyrachowanie powinno szczególnie gospodarzy nakłonić do zaopiekowania się ptastwem w tej porze. One to bowiem są naszymi wielkimi sprzymierzyńcami w walce przeciw szkodnikom naszych pól, mianowicie sadów. Dbajmy zatem o ptaki. Urządźmy dla nich budki na drzewach, sypmy żer w odpowiedniem miejscu, a nie tylko spełnimy przykazanie Boskie, nakazujące litość także wobec zwierząt, lecz pracować będziemy dla własnego dobra.

Odpowiedzi od Red. i Adm.

Lilijka. Ładne — zużytkujemy.
Bocian bez żab. Nie wydrukujemy, bo za tłuste, choć dowcipne.
X. Y. w Paryżu. Po przeczytaniu zobaczymy i damy odpowiedź.
Bezimienny w New-Yorku. Wyraźniej niech pan streści swoje zapatrywania.
Rodak w Kurytybie (Brazylja). Prześlemy, ale tylko na okaz.
Wodny. Za długie i za nudne, choć aktualne.
Autorom wierszy. „Zbliża się wiosna“, „Ułudy“, „Kameleon“, „Psie wiary“ — utwory panów drukowane nie będą.

Nadesłane.

Quäker Oats

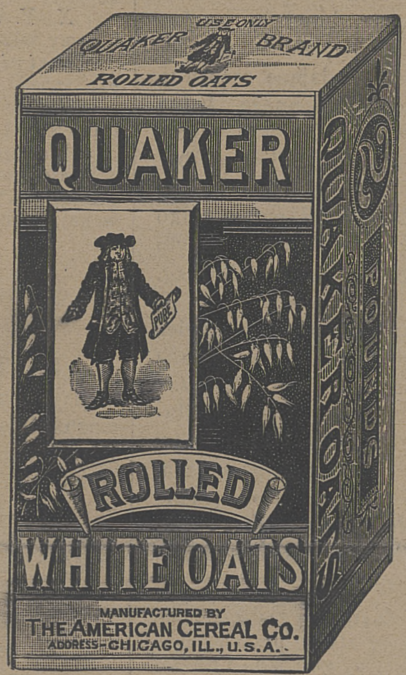
Wszędzie do nabycia w pakietach po 1 funcie i ½ funta.

(z przepisem gotowania)

Jako pożywienie dla dzieci:

Niedostateczne i nie stosowne pożywienie, czyni dzieci nerwowemi, kłóliwemi i źle usposobionemi. W czasie ich szybkiego wzrostu, potrzebują dzieci przeróżnego dobrego pożywienia.

Za wiele mięsa, lub za wiele słodyczy szkodzi; „Quäker Oats“ (amerykański owies gnieciony) robi je zdrowemi i silnemi, a tem samem wyrabia się dobra natura. Wszystkim matkom poleca się do gotowania ten znakomity środek spożywczy. (69-10-3)



FABRYKA LIKIERÓW
ZYGFRYDA KREBSA
we Lwowie, ulica Batorego liczba 7.

poleca swój wyrób, szczególnie

S. KREBSA

prawdziwy

STARY SZLACHCIC.

Jest to wódka zdrowotna i pozwala sobie PT. na falsyfikaty tegoż zwracać uwagę. Wszelkie wysełki, tak we Lwowie, jak na prowincji odwrotną pocztą **franco** się wyseła.

[122-5-4]

Otwarte zostało Sanatorjum

Dom zdrowia
Dra EUGENIUSZA WAJGLA
WE LWOWIE

ulica H usnera 11.

(116-12-5)

Główny skład wędlin

Zofji Adamowskiej

założony w roku 1871

w Samborze,

poleca wyborne wędliny własnego wyrobu, w każdym dniu świeże do nabycia. Przy składzie znajduje się obszerna i starannie urządzona restauracja z kilkoma pokojami, gdzie można dostać wykwitne zimne przekąski, smaczne gorące potrawy, sporządzane li tylko na świeżem maśle, oraz napoje wszelkiego rodzaju. Wszelkie zamówienia z prowincji, odseła się w dobrem opakowaniu, natychmiast odwrotną pocztą. Usługa staranna i rzetelna. Ceny umiarkowane.

Polecam się nadal łaskawym względom Szanownej p. p.

Zofja Adamowska.

(134-2-2).

Premjowane

własnych zbiorów I kl. wina Heygelja — **Szamorodne,** a mianowicie: **stare kuracyjne Tokaje** — ordynowane przez **najpierwsze** powagi lekarskie **wedle świadectw** — rozbierane w Paryżu przez pierwszych specjalistów z współudziałem przezacnego Pr. Gałęzowskiego, otrzymały najwyższe premie — zaszczycone używaniem przez Najdos. Arc. Salwatorów, Jego Ex. Arcyb. Issakowicza, ś. p. exprez. Smolkę i u wybitnych osobistości — są do nabycia u właścicielki

ANNY NEUPAUER

ul. Kochanowskiego l. 6

we Lwowie. (144-5-1)

Skład papieru

ŚWIĘTNICKIEGO
w Krośnie, (141-3-1)

poleca wszelkie przybory do pisania i rysowania, zeszyty szkolne, rekwizyta kancelaryjne, wszystko w doskonałym gatunku, po najprzystępniejszych cenach.

EDISON!

Mam niniejszem zaszczyt uwiadomić Szanowną P. T. Publiczność że nabyłem **na własność w drodze kupna**

KAWIARNIĘ

„EDISON“.

Korzystając z długoletniej praktyki i działalności mojej w tym zawodzie, postarałem się o usunięcie **niektórych dotychczasowych usterek,** które mogły być powodem niezadowolenia Szan. P. T. Publiczności.

Żywię niepłonną nadzieję, że ta

PIERWSZORZĘDNA KAWIARNIA „EDISON“

wspaniałem urządzeniem lokalu i skrzętną usługą,

zasłuży sobie na zupełne względy Szanownych P. T. Gości, zwłaszcza, że usilnem staraniem mojem zawsze było i będzie nadal, wszelkie wymagania zadowolnić.

[127-4-3]

Z głębokim szacunkiem

LEON ENSEL.

Biuro
Związkowych Cegielni
Stowarzyszenie zarejestrowanego z ograniczoną poręką

we Lwowie,

znajduje się

w Pasażu Hausmana l. 8.

I piętro. (133-3-1)

Hotel Polski
pod »białem Orłem«

Kraków Florjańska 42

obok bramy Florjańskiej

gruntownie odrestaurowany i z wielkim komfortem urządzony,

poleca się i nadal łaskawym względom Szanownej P. T. Publiczności.

Pokoje gościnne,

ceny umiarkowane.

STAJNIE i WOZOWNIE.

Przystanek kolei konnej

(130-52-2)

Ładny obszerny lokal
w Dębicy, (110-6-6)

w samym Rynku położony, jest na restaurację, hotel, kawiarnię, cukiernię, lub masarnię w każdej chwili, dla chrześcijanina do wynajęcia, za bardzo skromnym czynszem. Egzytencja pewna. Wiadomość w Restauracji kolejowej II. klasy **w Dębicy.**

3% Losy austryackiego Zakładu kredytowego ziemskiego

sześć (6) ciągnień rocznie

główna wygrana:

50.000 zlr. a. w.

4% Losy wegier. Banku hipot.

trzy (3) ciągnienia rocznie

główna wygrana:

50.000 zlr. a. w.

jakoteż wszelkie losy Czerwonego Krzyża i serbskie 10 frankowe sprzedaje najtaniej

Sokal i Lilien
dom bankowy

i kantor wymiany.

Zlecenia z prowincji wykonujemy bezwłocznie nie doliczając prowizji a na żądanie zaliczkę. (92-st.)

Handel wina Ludwika Stadtmüllera we Lwowie przy ul. Krakowskiej 9.
sprzedaje wino szampańskie Józefa Törley et Cie. w Budapeszcie „Talisman sec“ po bardzo przystępnych cenach.

[104-6-4]

Za Komitet redakcyjny i wydawniczy: Redaktor odpowiedzialny i Wydawca: **M. Dzikowski-Chamski.** Z drukarni W. A. Szyjkowskiego.